



## ŚMIESZNIE I SMUTNO

**N**A SCENIE, powściągliwie zago-  
spodarowanej, pojawia się paru  
ludzi, dziwnie ubranych, z sil-  
nie zaznaczonymi plamami szminki,  
czy oszpeca, co ma ubarwiać sztukę,  
a ubarwia tylko twarze aktorów, i  
ludzie ci przekonują mnie, że między  
nimi dzieje się coś wesołego, i dają  
mi do zrozumienia, że powinienem  
się śmiać. A że mój śmiech jest głą-  
boko ukryty, więc nie wiem, czy uda  
mi się wywołać go na powierzchnię.

Ludzie ci, to dwaj panowie, którzy  
usługują być amantami, jedna panien-  
ka, bardzo smutna, dwoje służących  
i jeszcze paru panów, którzy poja-  
wiają się na scenie, żeby wyjaśnić  
zawiłość intrygi. Jeden amant — ople-  
kun, na czarno ubrany, ma brzydkie  
myśli i jest stary, a może ściślej —  
dość stary. Drugi, fioletowy, młodzień-  
ki, aniołkowaty, bez wad i dobrze  
wychowany, choć i w nim drzemią  
niezupełnie jasne sily. Czarny oha-  
rakter więzi ową smutną dziewczynę  
we własnym domu i nie po-  
zwala jej oglądać bożego świata, pra-  
wi jej nauki moralne jak powinna  
być, żeby być dobrą żoną, oczywiście  
jego żoną. Nie ukrywa, że najbardziej  
go w tym wszystkim, co się rozgry-  
wa, interesuje młode ciało dziewczyny,  
a nie jej los. A gdy dowiadyuje  
się, że drugi amant w czasie jego  
nieobecności podrywa zamknięte w  
wieżyczce, i tylko patrzące przez ok-  
no, dziewczę postanawia działać. A  
działanie to polega na tym, że prze-  
kupną służbę zjednuje sobie saskiewką  
i wydaje polecenia, jak ma się za-

chować, gdy blondasek ukaże się w  
okolicy. I tu następują humorystycz-  
ne sytuacje, które najbardziej bawią  
ślubę. Ktoś kogoś kopie, ktoś kogoś  
bije grabiami, ktoś kogoś przewraca,  
słowem jest dużo ruchu, krzyku i ba-  
laganu. Wielec już o czymś mowa.  
Oczywiście, to „Szkoła żon” Mollera  
przed wami. Anusia, słodka pa-  
nienka, którą gra Teresa Ujazdowska,  
ma być tą naiwną, która w istocie  
wszystkich wprowadza w pole. I rze-  
czywiście, publiczność też. Anusia  
cierpi, ale dlaczego ja mam ścierpieć  
to, że jej cierpienie jest nudne i nie  
do zniesienia na dłuższą metę. Ma być  
zaznaczona piętnem losu, a jest za-  
znaczona słym ustawieniem reżyser-  
skim, i to piętno jest gorsze, niż  
piętno losu, choć przeciwnie. Uja-  
zdowska jest niezłą aktorką i widzia-  
łem ją w sztukach, w których radziła  
sobie jak trzeba. Tutaj monotonia jej  
rolę była silniejsza od jej talentu.

Dwaj amanci, sztuczni jak na nasze  
czasy, próbujący przypomnieć czasy  
mollerowskie i wepchani w poetykę  
zbyt poważnie traktującą komedię,

robili co mogli, żeby czuć się dobrze  
na scenie. Ale bezlitna publiczność  
tylko od czasu do czasu zauważała  
ich wysiłki i kwitowała płytkimi okla-  
skami. Pewnie bardziej przeżywała  
wątek tragiczny tego dość miernego  
dziełka, w którym to wątku pierw-  
sze skrzypce grał czarny amant, może  
nawet zakochany w pięknej dzie-  
weczce, ale była to miłość śmieszna,  
tylko że śmiać się nie miałem siły,  
chyba że zmagając aktora, ale żem  
człowiek rozumiejący, więc milcza-  
łem.

Amant fioletowy dusił się we włas-  
nej roli, czuł się, zdaje tak, jak  
wesoły wieśniak wepchnięty siłą do  
salonu, w którym należało się wyka-  
zać manierami towarzyskimi, a one  
utrudniają poruszanie. Nazbyt po-  
ważnie, zresztą, tak samo, jak i  
pierwszy, jak i dziewczę, z namasz-  
czeniem, uwznioślając potraktował  
zabawę. Ale to nie jego wina. Nie-  
stety, nasza wrażliwość nie wytray-  
muje już długich i sentymentalnych  
tyrad o miłości, czy o ozymkowliek  
zresztą innym. I Moller może być

piłą. I od reżysera wymagać można,  
żeby o tym wiedział. Czulo się w ob-  
razach, rytmie, tonacji, we wszyst-  
kim, pośpiech i prowizorkę. Przedsta-  
wienie było podobne do człowieka,  
który nie może ślać oddechu, ale  
gdy już ślać, to usypia. Tak było  
i tu. Spektakl ożywił od czasu do  
czasu wesełsze akcenty muzyczne.  
Choć cała sztuka oparta była na kil-  
ku zabiegach qui pro quo, na niepo-  
rozumieniach, mających wywołać e-  
fekty komiczne, to tylko jedno nie-  
porozumienie wyszło udanie. To, że  
sztuka znalazła się na scenie. I że w  
takiej konwencji. Nie pomogli nawet  
„Szkoła żon” — zabawni na swój spo-  
sób, najlepsi na scenie — Agatka i  
Grzesio.

STANISŁAW SROKOWSKI

Państwowy Teatr Dramatyczny,  
Walczyński. „Szkoła żon” Mollera.  
Reż. M. Broniewska. Scen. A. Szelliga,  
Anusia — T. Ujazdowska. Horacy —  
M. Janowski. Arnolf — B. Idziak.  
Grzesio — K. Migdar. Agatka — H.  
Kulawińska i inni.